



My, ukraińskie dzikusy

Wiktoria Czyrwa

Hasło „Ukraina do Unii Europejskiej” ma na ustach prawie każdy ukraiński polityk. Na Zachodzie także często podkreśla się, że miejsce Ukrainy jest w Unii. Tylko czy ktoś się zastanawiał, jak wyglądałaby Unia, gdyby przyjęto do niej Ukrainę?

Dziś Ukraina poprzez zachowanie polityków, ale też w symbolicznych gestach pokazuje, że nie jest gotowa na integrację z Unią Europejską. Bo na co może liczyć kraj, który flagę narodową podmienia na flagę radziecką, pod którą zamordowano tysiące Ukraińców? Na wszystko, czego sobie życzy. Jednak nie na integrację z Europą. Prezydent Wiktor Janukowycz ma dobrych specjalistów od *public relations*: od początku sprawowania urzędu podkreślał, że Ukraina ma aspiracje proeuropejskie. Kiedy z pierwszą oficjalną wizytą udał się do Brukseli, wielu ekspertów poczuło satysfakcję. Jego wybór odczytano bowiem jako jasny sygnał: nowa władza ma zamiar podtrzymać proeuropejski kurs wcześniejszej ekipy. W rzeczywistości „kurs proeuropejski” nie wyszedł poza ustne deklaracje i poklepywanie się po plecach.

Zniżki dla swoich

Wkrótce po wizycie w Brukseli Janukowycz udał się do Moskwy i dla wszystkich stało się jasne, że ukraińska polityka zagraniczna obierze kierunek na Wschód, nie na Zachód.

Tłumaczono ten wybór tak: proeuropejskich wartości do garnka nie włożysz, a z Moskwą trzeba się przyjaźnić, bo w przeciwnym razie nie otrzymamy preferencyjnych cen na surowce energetyczne z Rosji. Nie jest jednak sekretem, że po podpisaniu umów gazowych z Rosją w 2009 roku Ukraina płaci za błękitne paliwo więcej niż wiele zachodnich krajów. Kijowowi nie udało się uzyskać preferencyjnej ceny, choć w kwietniu 2010 roku podpisano tak zwane porozumienia charkowskie,

na których mocy Ukraina w zamian za obniżkę ceny gazu zgodziła się na stacjonowanie rosyjskiej Floty Czarnomorskiej na Krymie do 2042 roku.

Obywatele Ukrainy nie odczuli tej zniżki, ponieważ rzeczywiste ulgi objęły duże zakłady przemysłowe należące do polityków związanych z Partią Regionów. Do tego w umowie dotyczącej stacjonowania Floty Czarnomorskiej na Krymie nie wymieniono opłaty, jaką państwo rosyjskie ma uiszczać za tę „przysługę”. Eksperci są zdania, że w wyniku umowy Ukraina będzie tracić miliard dolarów rocznie.

Obecnie Rosja uporczywie namawia Ukrainę do wstąpienia do unii celnej z Białorusią i Kazachstanem. Byłoby to sprzeczne z naszym członkostwem w Światowej Organizacji Handlu i stawiałoby Kijów na straconej pozycji podczas rozmów toczonych z Unią Europejską na temat strefy wolnego handlu.

Jednak ukraińscy dyplomaci znaleźli sposób na wybrnięcie z tej sytuacji: przekonują, że jeśli przystaną na współpracę z Rosją w ramach unii celnej, to według specjalnej formuły 3+1, to znaczy Rosja, Białoruś i Kazachstan będą handlować ze sobą według jednych praw, natomiast Ukraina będzie przestrzegać innych praw. Te „inne” prawa miałyby nie naruszać umów wcześniej zawartych z WTO. Jednak nikt nie jest w stanie czytelnie objaśnić, co oznacza w rzeczywistości wariant 3+1. Jest natomiast jasne, że ani Rosji, ani Europy taki wariant nie może zadowolić. Unia Europejska podsunęła dyplomatyczną aluzję, że próby integracji z gospodarczymi strukturami Rosji podejmowane przez Ukrainę zamrozą rozmowy na temat strefy wolnego handlu ze Wspólnotą. A już o członkostwie w Unii na pewno będzie można zapomnieć. Tymczasem prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew stwierdził, że Ukraina długo nie usiedzi na dwóch stołkach: albo chce do Europy, albo będzie się integrować ze strukturami, którym przewodniczy Rosja.

Ukraina długo nie usiedzi na dwóch stołkach: albo chce do Europy, albo będzie się integrować ze strukturami, którym przewodniczy Rosja.

Pod flagą z sierpem i młotem

Dziś prezydent Janukowycz kokietuje Zachód i stara się przekonywać w oficjalnych deklaracjach, jak bardzo Kijów zbliża się do Brukseli. Tymczasem następny gwóźdź, który Ukraińcy wbili do trumny europejskiej integracji, to nieporozumienia wokół świętowania Dnia Zwycięstwa 9 maja. Kolejne ekipy rządzące, jakby nie różniły się od siebie, chronią pamięć o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej i udziale w niej Ukraińców.

To fakt, prezydent Wiktor Juszczenko uważał, że także weterani OUN-UPA zasługują na świadczenia socjalne, jednak podkreślał, że zwycięstwo było wspólnym osiągnięciem, także weteranów z armii radzieckiej, a 9 maja jest dniem pojednania.

Tymczasem podczas ostatniego Dnia Pobiedy Ukraina „pięknie się zaprezentowała”. We Lwowie doszło do starć organizacji radykalnie prawicowych i lewicowych, zaś w wyniku tych potyczek ucierpieli starzy weterani. A wszystko za sprawą pro-

**Media wytykają
ukraińskim politykom
różne grzechy. Jednak
to im nie szkodzi,
a nawet przysparza
większej popularności.**

wokacyjnej decyzji ukraińskiego parlamentu: deputowani związani z obozem władzy uchwalili prawo obligujące do wywieszania w Dzień Zwycięstwa na wszystkich budynkach państwowych obok żółto-niebieskiej flagi narodowej flagę czerwoną. I choć inicjatorzy tej decyzji przekonywali, że flaga ta jest symbolem jednej z dywizji strzeleckich, która podczas walk wykazała się wyjątkowym bohaterstwem, to praktycznie w niczym nie różniła się od radzieckiej. Także

była czerwona i figurowały na niej – znienawidzone przez połowę Ukrainy – symbole sierpa i młota.

Prezydent Janukowycz podpisał prawo mówiące o czerwonej fladze już po 9 maja, jednak nie przeszkodziło to przedstawicielom administracji w miastach na południu i wschodzie kraju w wywieszeniu jej obok flag państwowych.

Najbardziej rzucały się w oczy uroczystości w Kijowie: w czasie świętowania Dnia Zwycięstwa za plecami prezydenta Janukowycza w ogóle nie było flagi państwowej, jedynie czerwona. Komu i w jakim celu potrzebna była ta prowokacja? Na to pytanie nie mogą odpowiedzieć nawet najlepsi analitycy. Jedno jest pewne: Ukraińcy kolejny raz nie zastanawiali się nad tym, co robią, i nie pomyśleli o konsekwencjach swoich decyzji. Dały się słyszeć głosy, że w prowokacji wyczuwalna jest „ręka Moskwy”. Doradczyni prezydenta Anna Herman jest zdania, że wydarzenia we Lwowie 9 maja były sprowokowane przez kogoś z zewnątrz i miały na celu pokazanie, że Ukraińcy są dzikusami. Chciano odciągnąć nas od Europy. Natomiast przewodniczący parlamentu Wołodymyr Łytwyn twierdzi, że po wydarzeniach 9 maja w kraju znów zaczęto mówić o federalizacji. I fakt ten naturalnie zagraża integralności Ukrainy, której wyraźny podział na Wschód i Zachód pokazała już pomarańczowa rewolucja w 2004 roku.

Rządzą zawsze swoi

Stosowanie zasady wybiórczości we wszystkim to kolejna dzikość Ukrainy, której świat nie może pojąć.

Przez okres istnienia niepodległej Ukrainy zarysował się wyraźny podział na „swoich” i „obcych”. Lojalni wobec władzy otrzymywali preferencje polityczne i biznesowe. Opozycja była likwidowana (niekiedy w bezpośrednim znaczeniu tego słowa). Pięcioletni okres rządów Wiktora Juszczenki był demokratyczną chwilą wytchnienia. Ale nie żyjemy mitami. Juszczenko nie przybliżył Ukrainy do Unii.

Wiedział, że w tym celu niezbędne są reformy, tymczasem transformacja przynosi duże koszty społeczne, których Ukraińcy wcale nie chcieli ponieść, więc Juszczenko wolał zająć się kłótniami z opozycją. Pomarańczowi zmarnowali ogromną szansę na przybliżanie Kijowa do Brukseli.

To fakt, przedwyborcze hasło Juszczenki – „bandyci do więzień” – siało strach. Ale krótko. Politycy związani z Janukowiczem, których podejrzewano o fałszerstwa wyborcze i inne przestępstwa, trafili za kraty, ale zostali wypuszczeni. Natomiast rządzący obecnie zabrali się do walki z oponentami. Tymoszenko i około dwudziestu jej współpracowników znalazło się w areszcie. Opozycja uważa, że to zemsta i represje polityczne. Przede wszystkim myśleć tak ma prawo były minister spraw wewnętrznych Jurij Łucenko, który w areszcie spędził pół roku. W 2005 roku to właśnie Łucenko był inicjatorem wszczęcia postępowania przeciwko obecnemu zastępcy premiera Borysowi Kołesnikowowi.

Aresztowanie Julii Tymoszenko stało się celem nowej ekipy. Prokuratura analizuje każdy papier, na którym widnieje podpis byłej premier.

Oczywiście, Prokuratura Generalna zaprzecza, że sprawa przeciwko Tymoszenko ma charakter polityczny. Przekonuje się Ukraińców, że Temida ma zakryte oczy i nie dzieli ludzi na „władzę” i „opozycję”. Za przykład może tu posłużyć sprawa przeciwko byłemu prezydentowi Leonidowi Kuczmiu. Był on uważany za „swojego”, tymczasem przesłuchiowano go w sprawie zabójstwa dziennikarza Georgija Gongadzego. W toku śledztwa jego winie ani nie zaprzeczono, ani jej nie udowodniono. Incydent ten raczej nie będzie mieć dla byłego prezydenta poważnych konsekwencji. Niewykluczone, że otoczenie Janukowicza chciało w ten sposób trochę zmiękczyć Wiktora Pinczuka, zięcia Kuczmy, jednego z bogatszych ludzi na Ukrainie, właściciela najpopularniejszych ukraińskich kanałów telewizyjnych.

Swoboda wypowiedzi wciąż jest palącym problemem na Ukrainie. Wszystkie kanały telewizyjne należą do biznesmenów bliskich prezydentowi. O władzy mówią jak o zmarłym krewnym: albo dobrze, albo nic. A dziennikarze komentujący poczynania władzy tak upodobnili się do rosyjskich kolegów, że można łatwo pomylić ukraiński kanał ze stacją rosyjską. Zresztą za rządów pomarańczowych media też nie były wolne. Nie było w nich cenzury, za to królowała *dżinsa* – teksty pisane na zlecenie. Dziennikarzy się kupowało. I pomarańczowi nie zamierzali przestrzegać pięknych haseł o wolności słowa głoszonych podczas pomarańczowej rewolucji.

Zdecydowane podziały na „swoich” i „obcych” widoczne są też w biznesie. Przez ostatnie pół roku nowy kodeks podatkowy zdążył zohydzić działalność średnim i małym przedsiębiorstwom, tak że około pół miliona ich przedstawicieli zdecydowało się na zamknięcie interesu. Panują ostre metody kontroli

Zamiast zbliżyć się do Europy, Ukraińcy winią każdego, kogo tylko mogą, że to nie dzieje się samo.

fiskalnej, Administracja Podatkowa pozwala sobie, na co tylko chce, a w biznesie zaprowadzono jeszcze mniej przejrzyste zasady. Dlatego ludzie mają coraz mniejszą ochotę do prowadzenia interesów na własną rękę. Średnia klasa na Ukrainie powoli się uszczupla.

Nie płać podatków i żyj spokojnie

To dziwne, ale każdy obywatel byłego ZSRR (może z wyjątkiem byłych republik bałtyckich) odróżnia się w Europie. Nawet jak jest świetnie ubrany, je nożem, widelcem i nie wypowiada ani słowa. Także Ukraińców wskazuje się za granicą jako obcych. Ukraińcy po prostu nie wpisują się w europejskie schematy. Nie byłoby problemu, gdybyśmy tu mówili o prostych ludziach: wielu z nich nigdy nie opuszczało kraju i inne życie mogło obserwować w telewizji. Dziwi fakt, że dzikusami pozostają wyjeżdżający za granicę stale, czy to do pracy, czy też na wypoczynek. W szczególności chodzi o wysokich ukraińskich urzędników, na przykład deputowanych parlamentu.

Dlaczego jesteśmy dzikusami? Bo w żadnym innym kraju deputowani tak nie ignorują podstawowych obowiązków. Mandaty gwarantują im nietykalność przed organami strzegącymi prawa, wielu deputowanych ma „czarną” przeszłość, prowadzi własny biznes, więc immunitet ochraniający przed milicją i prokuraturą jest im po prostu niezbędny. To musi budzić niezrozumienie w Europie.

Kolejna sprawa: deklaracje podatkowe urzędników. Kiedy deklaracje zostają upublicznione, aż się chce otworzyć specjalne konto i przesyłać urzędnikom jakieś środki w charakterze pomocy materialnej (to samo dotyczyło się zresztą ekipy pomarańczowych). Ich skromne dochody kontrastują z willami za miliony dolarów, drogimi samochodami. Na przykład, jeśli wierzyć deklaracjom majątkowym, prezydent Janukowycz nie posiada własnego samochodu. Zresztą podobnie rzecz ma się z wieloma członkami rządu.

Hasło, które posłuszni prawu Europejczycy wcielają w życie, czyli „zapłać podatki i żyj spokojnie”, ukraińscy urzędnicy lekceważą. Na przykład Mychajło Brodski, stojący na czele Państwowego Komitetu do spraw Przedsiębiorczości, głośniejszy od innych krzyczał, że przedsiębiorcy powinni płacić podatki. I nagle okazało się, że jedno z jego przedsiębiorstw było dłużne funduszowi emerytalnemu 350 tysięcy dolarów. W każdym cywilizowanym kraju stałoby się to powodem nałożenia ogromnej kary albo nawet dymisji. Co prawda, Brodski stracił później posesję, ale z zupełnie innej przyczyny. Nie cierpiał jednak długo z powodu braku stołka. Na pocieszenie dostał stanowisko w Radzie Ministrów.

Ople i fordys są dla nas za tanie

Każdego urzędnika i deputowanego na Ukrainie łatwo jest rozpoznać po dobrym samochodzie. W Europie parlamentarzyści jeżdżą skromnymi oplami lub fordami. A jeśli nie chcą stać w korkach, to nie pogardzą też rowerem, natomiast na Ukrainie deputowani i urzędnicy łatwo rozwiązują problem korków: wjeżdżają na przeciwny pas ruchu albo używają kogutów (co zresztą zostało im zabronione). W tygodniu sesji parlamentu plac przed Radą Najwyższą przypomina wystawę aut w Genewie. Ukraina znajduje się w światowej czołówce, jeśli chodzi o zapotrzebowanie na ekskluzywne samochody. Bywa, że pojawiają się tam niektóre modele aut, zanim jeszcze trafią do seryjnej sprzedaży.

Po przyjsciu do władzy Janukowycza rozszerzyła się też lista osób uznawanych za VIP-ów. Ich auta traktowane są na drodze jako uprzywilejowane, przez co cierpią zwykli kierowcy. Kijów jak mało które miasto zapchany jest samochodami. Do tego dochodzą niekończące się remonty dróg. Patrząc na to wszystko, można mieć wątpliwości, czy Ukraina jest w stanie przygotować się do Euro 2012.

Nasi urzędnicy nie mogą też pojąć, z jakich przyczyn ich zachodni koledzy dobrowolnie podają się do dymisji, jak zrobił na przykład minister obrony Niemiec, kiedy oskarżono go o plagiat. Analogicznym zarzutem nie przejął się Wołodymyr Łytwyn, przewodniczący ukraińskiego parlamentu. Kiedy kilka lat temu pod jego adresem padło takie oskarżenie, nawet nie zaprzeczał. Na Ukrainie od czasu do czasu media wytykają politykom różne grzechy. Jednak u nas nie tylko nie szkodzi to ich *image*'owi i reputacji, a nawet przysparza im popularności.

Wytykani palcami

– Czy Ukraina chce akcesji do Unii Europejskiej? Nie jestem o tym do końca przekonany. Jeśli Ukraińcy wyrażają taką chęć, to chcielibyśmy się o tym przekonać – stwierdził w czasie konferencji w Jałcie Przewodniczący Komitetu Spraw Zagranicznych Parlamentu Europejskiego Elmar Brok. Niestety, Ukraina nie ma na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi.

Europejczyków drażni wszystko, co dzieje się w naszym kraju: korupcja, brak niezależnego sądownictwa, źle przeprowadzone reformy, brak szacunku do demokracji. Bez owijania w bawelnę dają nam do zrozumienia: jeśli w kraju nic się nie zmieni, to na długie dziesięciolecia odsunie się perspektywa wstąpienia do Unii. Ale ukraińska władza jakby tego nie widziała. Woli upatrywać wroga gdzie indziej i twierdzić, że w akcesji do Unii przeszkadza nam opozycja. Inna sprawa, że ukraińska władza ma specyficzną wizję opozycji: chciałaby, aby ta popierała wszystkie jej poczynania albo przynajmniej nie wyrażała sprzeciwu. Opozycja twierdzi, że jeśli zagranicą

wypowiada się pejoratywnie o sytuacji na Ukrainie, to nie dlatego, że chce się zalić, ale dlatego, że usiłuje pokazać prawdę o naszym kraju. Zresztą o rzeczach, które władza chciałaby ukryć, może opowiedzieć każdy obywatel Ukrainy.

Zamiast podejmować wysiłki, by rzeczywiście zbliżyć się do Europy, Ukraińcy winią każdego, kogo tylko mogą, że to nie dzieje się samo – opozycję, Zachód, który jakoby usiłuje nam przeszkodzić w akcesji do Unii.

Ukraina liczy na pomoc z zewnątrz, nawet nie starając się przeanalizować swoich poczynań. Obecnie Kijów pokłada nadzieje w Polsce, która od połowy 2011 roku sprawuje prezydencję we Wspólnocie. Prezydent Wiktor Janukowycz już zapewnił sobie poparcie polskich kolegów w tym aspekcie. Kto nam jednak może pomóc, jeśli my sami nie mamy ochoty się reformować i przybliżać do Europy?

Może na początek należy obudzić w Ukraińcach poczucie tożsamości narodowej i poszanowanie własnego kraju? Brzmi to banalnie. Jednak bez tego nie będziemy mieć szacunku sami do siebie. A na Zachodzie wciąż będą nas wytykać palcami. 🇺🇦

Przełożyła Małgorzata Nocui

Wiktoria Czyrwa jest ukraińską dziennikarką, publicystką strony internetowej www.comments.ua.